

Zalewowa Majówka 2012 - relacja

Autor: Administrator
26.06.2012.
Zmieniony 06.05.2013.

Zalewowa
majówka, czyli o krążeniu na rowerze wokół
dużej wody słów parę

Sobota, dzień
pierwszy 28.04.2012

Spotykając się na dworcu zgodnie stwierdziliśmy, że choć czujemy bardzo rześkie powietrze w płucach to cieszymy się niezmiernie z tego, że widzimy słońce i siebie nawzajem. Zapakowanie rowerów i innych bagaży w podstawionym na ostatnią chwilę pociągu poszło sprawnie i szybko. Spore zainteresowanie wzbudził wśród pasażerów widok Nali (bigielka- część rodziny naszego Prezesa) i jej pojazdu. Podróż upłynęła szybko i bez niespodzianek, co przy kondycji naszych szacownych PKP jest warte odnotowania.

Po wypakowaniu się z pociągu w Szczecinie Dąbiu wsiedliśmy na rowery. Wyjazd z miasta na szlak, słabo zresztą oznakowany, prowadzi wzdłuż jeziora Dąbie. Miejscami przed oczyma mieliśmy ładny widok nie tylko na samo jezioro, ale i część Szczecina na przeciwległym brzegu. Malownicze pagórki, zabudowania wtopione w soczystą zieleń, widoczne były na długim odcinku. W Lubczynie pozwoliliśmy sobie na chwilę odpoczynku. Zatrzymaliśmy się przy wejściu na przystań żeglarską. Miejscowość niewielka, ale jej wygląd wskazuje na to, że w sezonie letnim jest oblegana przez przyjezdnych. Po krótkim odpoczynku i małym śniadanku ruszyliśmy dalej. Jechaliśmy drogami asfaltowymi wśród łąk i pól uprawnych. Można było do woli podziwiać różne odcienie zieleni i kwitnący rzepak. Zdecydowanie mniej do podziwiania było na następnym postoju, czyli w Goleniowie. Zabudowa mieszkaniowa to brzydkie i szare bloki, trochę kamienic w różnym stanie, ale rynek całkiem schludny. Piękna baszta, fragmenty murów i zwalista bryła kościoła przypominają czasy dużo, dużo starsze (XIV wiek) niż późny Gierek, ale nie widać by były przedmiotem szczególnej troski konserwatora zabytków. Postanowiliśmy, że zrobimy tu przerwę na kawę. Rozlokowaliśmy się w schludnej kafejce z miłą obsługą. I mnie kawy chciało się też....tyle, że odkryłam, że nie mam portfela. Aaa, a były tam nie tylko pieniądze, ale i dokumenty. Przeszukanie wszystkich kieszeni, kuferka na bagażniku, nie dało żadnych rezultatów. Iwona postanowiła wzmocnić mnie kawą za swoje pieniądze. Maciej zastanawiał się, gdzie trzeba będzie wrócić, aby szukać tego portfela z ważną zawartością (pał licho złotychwi, ale ta reszta...). Reszta towarzystwa była też poruszona. Kiedy wyobrażałam sobie bieganie do stosownych intencji przy odtwarzaniu dokumentów odeszłam od stolika, aby z kuferka sięgnąć chusteczki. Zamykając go zerknęłam na bagażnik przed rurą od siodełka. Jak myślicie, co poczułam widząc tam mój portfel? Okazało się, że jechał tam około 12 kilometrów!!!. To, że mi nie spadł? Miałam wyjątkowe szczęście. Położyłam go tam kiedy na chwilę zatrzymaliśmy się na skraju lasu, żeby zdjąć z siebie ciepłą odzież i zapomniałam o tym drobiazgu. Z Goleniowa dojechaliśmy, już bez przygód na miejsce pierwszego noclegu, do Stepnicy, nad brzegiem Zalewu Szczecińskiego. Maciej rzucił okiem na licznik

siedemdziesiąt osiem kilometrów. Na pierwszy dzień, na "wprawkę" chyba starczy. Miejscowość długa, schludna, o typowej zabudowie łańcuchowej z nietypową drogą główną – pasy jezdni są rozdzielone trawnikiem. Odnaleźliśmy domy, w których był zarezerwowany nocleg. My, kobiety i psica zostaliśmy na początku miejscowości, panowie pojechali w drugi koniec wsi. Spotkaliśmy się później na plaży, pustej jeszcze o tej porze roku. Ponieważ było przyjemnie i słonecznie niektórzy nabrali ochoty na zamoczenie stóp w wodzie. Popatrzyliśmy też na ładny budynek letniej restauracji. To zapewne świadek świetności i letniskowych tradycji Stepnicy z początku XX wieku. Posiedzieliśmy na tarasie i rozeszliśmy się na kwatery.

Niedziela, dzień
drugi - 29.04.2012

O ustalonej dnia poprzedniego godzinie spotkaliśmy się przed domem, w którym spałyśmy. Czekałyśmy już gotowe do drogi. Choć gospodyni była uprzejma, uśmiechnięta, w zasięgu ręki było mleko prosto od krowy, kwaterę opuściliśmy bez wielkiego żalu. Dla pełnej informacji dodam, że jedna z koleżanek, bardzo trafnie, acz dyplomatycznie nazwała ją "Brudasówka". Za Stepnicą zjechaliśmy na szlak rowerowy wiodący wśród pól, na granicy lasu. Zbliżyliśmy się do jakiejś grobli i już wiedzieliśmy, że nie jedziemy we właściwym kierunku. Paskudne, prawie żadne oznakowanie szlaku i sypki piasek wcale nie ułatwiał przemieszczania się. Ale byliśmy w dobrych nastrojach, powietrze było rześkie, wiatr nie wiał za mocno w oczy. Czego chcieć więcej. Jechaliśmy w kierunku Kopicy, później do Czarnocina. Tu dwie niespodzianki. Pierwsza – Iwona odkryła, że w tylnym kole nie ma powietrza. Zatem przymusowy postój na usunięcie usterki. Było to w pobliżu małej przystani. Zeszliśmy na brzeg. Po wejściu na pomost druga niespodzianka: w powietrze uniosła się olbrzymia chmara stworzeń przypominających meszki. Uciekliśmy stamtąd dalej od wody. Po naprawieniu koła ruszyliśmy dalej. Zanim dojechaliśmy do Żarnowa trzeba było jeszcze odnaleźć smycz Nali i poprawić bagażnik na Wojtka rowerze. Sakwy i śpiwór w zgrabnym worku ciągle kilka razy chciały zostać na pięknej dróżce wśród podmokłych łąk. Ale Maciej umocnił przyczepy bagażnika i nic już nie chciało zeskakiwać z rowera. Przejeżdżaliśmy przez rezerwat. Wiele ciekawych rzeczy o zamieszkujących go ptakach w trakcie jazdy opowiadała nam Iwona. Potem jeszcze spotkaliśmy pasące się czerwone krowy o bardzo długiej sierści i wspaniale wywiniętych rogach. I one patrzyły na nas z zainteresowaniem. Widok był ciekawy. W przyzwoitym tempie, rozglądając się po okolicy dojechaliśmy do Wolina. Zatrzymaliśmy się w skansenie. Trafiliśmy na przygotowania do festynu, który miał się zacząć pierwszego maja. Prawie cała grupa poszła obejrzeć ekspozycję. Można było dostrzec wiele podobieństw do Biskupina. Okazało się, że można nie tylko oglądać, ale świetnie się przy tym bawić i jeszcze czegoś nauczyć. Panowie nie odmówili sobie możliwości przebrania się w zbroje i stoczenia pojedynku. Przekonali się, że hełmy wzorowane na średniowiecznych wcale nie są wygodne, a kolczugi dużo ważą i utrudniają sprawne poruszanie się. Nasz podziw dla dziwaków bawiących się w odtwarzanie rycerskich pojedynków wzrósł niepomrotnie. Kobięca część grupy dostrzegła inną atrakcję w postaci możliwości utoczenia filcowych kul pod okiem zacnej instruktorki słusznych kształtów w lnianych spódnicach. Ogólnie – jeśli ktoś lubi oglądać tego typu miejsca – zajrzyjcie. Jest na czym zahaczyć oko (portfel też). Po dłuższym, niż myśleliśmy pobycie w skansenie pojechaliśmy do miasta, gdzie zdecydowaliśmy się zostać na obiad, tym bardziej, że do Świnoujścia, gdzie był zarezerwowany kolejny nocleg, mieliśmy

jeszcze trochę. Tu, w restauracji potwierdziła się stara zasada, że ufając należy sprawdzać. Pani stojąca za barem pomyliła coś w zamówieniu na zupy i nijak nie można jej było wytłumaczyć, że brakuje pierwszego dania dla jednej osoby. W końcu wszystko się wyjaśniło, obiad został spałaszowany. Ale niezależnie od "zupowych" perypetii bar przy kościele można spokojnie polecić jedzenie smaczne i świeże.

Opuściliśmy miasteczko. Położone lekko z boku ruchliwej, krajowej trasy samochodowej żyje swoim własnym nieśpiesznym rytmem. Widać to po zabudowie, zachowaniu ludzi. Pojechaliśmy w kierunku Świnoujścia. I znowu kiepska droga, praktycznie bez oznaczeń, szumnie zwana szlakiem rowerowym. Ostatnie kilka kilometrów przed celem niedzielnej wędrowki przejechaliśmy już drogą krajową. Naszym oczom ukazała się potężna kolejka pojazdów oczekujących na przeprawienie się na drugą wyspę. Skorzystaliśmy z tego, że mogliśmy się przemieścić się do samej przystani i oczekiwanie na prom uległo znacznemu skróceniu. Nie było zbyt komfortowo, chłód (około 9°C) i nasilający się wiatr dawały się trochę we znaki. Ale rozgrzewały nas dobre nastroje, a potem kawa z automatu, całkiem niezła, na promie. Mimo sporej odległości, jaką pokonaliśmy (osiemdziesiąt kilometrów) zmęczenie nie dawało się bardzo we znaki.

Kiedy dojechaliśmy do schroniska mieliśmy czas na spokojne rozpakowanie się, relaks i ciekawe rozmowy. Omówiliśmy plany na kolejny dzień i udaliśmy się w objęcia Morfeusza.

Poniedziałek,
dzień trzeci 30.04.2012

Rankiem, po wspólnym śniadaniu (najmłodszy w grupie wspólnym wysiłkiem przygotowali jajecznicę z 30 jaj kupionych raniutko przez Anetę) ruszyliśmy na niemiecką stronę. Po stronie niemieckiej na samej granicy tuż obok pasa, gdzie w poprzedniej epoce były zasieki i płot, tuż obok plaży postawiono kilka dużych baterii słonecznych. Zastanawialiśmy się, gdzie wykorzystywany jest prąd pozyskiwany tak tanim sposobem. Po krótkim pobycie na plaży pojechaliśmy do Albeck. Urocze, czyste miasteczko zadziwiło nas nie architekturą, ale infrastrukturą dla rowerzystów. Ci, którzy jechali tam po raz pierwszy podziwiali. Ci, którzy znaleźli się tam po raz kolejny cieszyli się, że wiele kilometrów, a nie tak jak w Polsce krótkim odcinkiem, pojedziemy porządną drogą, która jest traktem rowerowym z prawdziwego zdarzenia, a nie tylko z nazwy. Z radością i satysfakcją jechaliśmy przed siebie. Widok Nali wiezionej w wózku nie budził wielkiego zainteresowania. Spotkaliśmy wielu rowerzystów, którym jechali ze swoimi czworonogami w podobnych pojazdach. Po drodze, w lesie, nie odmówiłam sobie przyjemności zwrócenia uwagi koleżankom i kolegom na ciekawostkę nazwaną "insektenhotel", wypatrzoną podczas naszej wspólnej z Rysiem wyprawy tą trasą cztery lata temu. Otu, pod daszkiem takim, jak umieszczane są tablice informacyjne w lasach, tu jest kaseta zamontowana pionowo. W jej wnętrzu znajdują się poukładane (poziomo) różnego rodzaju kawałki drewna z otworami różnej średnicy. Są to znakomite kryjówki dla różnego rodzaju żyjątek, nie zauważanych przez nas w naturalnych warunkach. W pełni lata jest na co popatrzeć. My widzieliśmy niewiele nie ta pora roku. Na krótko zatrzymaliśmy się przy punkcie widokowym. Wysoki, stromy brzeg, wąska plaża, widok na morze. Wytchnienie dla oczu, pokarm dla duszy, chwila odpoczynku dla nieco znużonych mięśni. W Bansin, przy wyjeździe z kempingu swoiste "dzieło sztuki"- stos rowerów na klombie, znakomite nawiązanie do drogi rowerowej, którą jeździ mnóstwo ludzi. Wzdłuż wybrzeża po mocno pofałdowanym terenie, potem już płaską drogą dojechaliśmy do

Trasenheide. Miejscowość nieduża, a jakże, schludna, z ładnymi domami, przy linii kolejowej do Świnoujścia. Celem odwiedzin była motylarnia....urządzona w byłej (zapewne) hali magazynowej, bądź przemysłowej. Po zakupie biletów weszliśmy do wnętrza o tropikalnym klimacie. Nasze aparaty fotograficzne dopiero po kilunastu minutach nie miały zaparowanych obiektywów i można było normalnie fotografować. Rośliny, oczka wodne, ławeczki i krzesła stanowią miłą dla oka całość. Pierwszy raz miałam okazję zobaczyć kwitnącego bananowca. Ale....przyjechaliśmy oglądać motyle. Wbrew pozorom nie było ich wcale za dużo. Niewiele gatunków, niezbyt liczne osobniki. Ale oglądaliśmy z zainteresowaniem. Poza główną halą część wystawowa i komercyjna. W tej pierwszej można obejrzeć owady (żywe i zasuszone na tablicach), małe płazy, kamienie i szkło artystyczne. W tej drugiej sklep z pamiątkami i kawiarnia. Opuszczając obiekt mieliśmy wrażenie, że oczekiwaliśmy czegoś więcej. Ruszyliśmy w drogę powrotną, praktycznie tą samą trasą. Troszkę inną drogę do samego Świnoujścia wybrał Maciej już na ostatnim odcinku. Zmęczenie długą drogą (dziewięćdziesiąt kilometrów) zrekomensowała kolacja przygotowana przez Wojtkę, Pawła i Jonasza. Wymyślili opiekane parówki z boczkiem i żółtym serem. Po takim dniu, nic tylko dobrze spać.

Wtorek, dzień
czwarty 01.05.2012

Ze schroniska wyjechaliśmy o zaplanowanej porze. Jeśli ktoś z Was chciałby zatrzymać się kiedyś w nim to musi wiedzieć, że nie wolno korzystać w kuchni z piekarnika, smażyć ryb, a po 22,00 kąpać się pod prysznicem. Ale co tam. Przed nami kolejny etap wyprawy dookoła Zalewu. Ze Świnoujścia pojechaliśmy do Zirchow. Kiedy przejeżdżaliśmy przez granicę mijaliśmy niszczące zabudowania i wiaty opuszczone przez Straż Graniczną. Jechaliśmy wśród malowniczych pól z kwitnącym rzepakiem, pięknym, pachnącym, położonych na łagodnych zboczach niewysokich wzgórz. Ciekawy element krajobrazu stanowią wiatraki elektrownie. Patrzyliśmy na nie z daleka. Budowane w grupach, niekiedy pojedynczo, ale wszędzie z dala od ludzkich siedzib. Niektóre, kolorowo pomalowane, przyciągały nasz wzrok w sposób szczególny. Trafiliśmy też w ciekawe miejsce. Z dala od głównej drogi, za wsią (nazwy nie zapamiętałam) jest ośrodek, w którym hodowane są żubry. Dla gości z Polski wejście za połowę ceny. Wszystkie tablice poglądowe w języku niemieckim i polskim. W pawilonach bardzo ciekawe plansze, gry dydaktyczne, fotografie zachęcają do zwiedzania. Bardzo ciekawie jest przedstawiona historia żubra i tura jako gatunku, oraz odtwarzania go przez ostatnie dziesięciolecia. Dokładne przeczytanie tablic pozwoliło wyjaśnić tajemnicę kurtuazji wobec polskich gości. Otóż sukcesy hodowlane były możliwe dzięki ścisłej współpracy z polskimi ośrodkami hodowlanymi. W przeciwieństwie do motylarni zachęcam do odwiedzin, jeśli ktoś będzie w pobliżu. Warto. Nieśpiesznie pojechaliśmy dalej. W Usedom zatrzymaliśmy się na dłużej. Obejrzeliśmy miasteczko. Postanowiliśmy przysiąść w ogródku przy jakiejś knajpce. Słońce grzało, wiał delikatny wiatr. Było przyjemnie. W atmosferze spokoju i luzu popijaliśmy kawę, jedliśmy lody, czy niektórzy, obiadowe dania. Przed sobą mieliśmy rynek. Zanim wyjechaliśmy z miasteczka poszliśmy obejrzeć kościół. Duży, ceglany, o bardzo surowym wnętrzu i skromnym, wystroju. Ciekawą rzeczą okazały się duże żeliwne piece umieszczone po dwa z przodu i z tyłu kościoła. Ich wygląd wskazał jednoznacznie na to, że ciągle służą do ogrzewania w chłody. Kelner zapytany o to, co za kościół, czy katolicki, czy protestancki odpowiedział: "nie wiem, po prostu kościół". No cóż, zadowolić się trzeba było tą odpowiedzią. Odkryliśmy też małe oszustwo remontowe. Od strony rynku pięknie odrestaurowany budynek z kolorową elewacją. Od tyłu, dwie ściany w opłakanym

stanie. Odpadający, brudny tynk, bylejakie okna . Brzydota. Jest to siedziba ...ratusza.

Pojechaliśmy dalej. Opuściliśmy wyspę Uznam. Długi odcinek pokonaliśmy asfaltową ścieżką rowerową. Mimo, że przejechaliśmy tylko pięćdziesiąt kilometrów kilkoro z nas czuło znużenie poruszaliśmy się po dość mocno pofałdowanym terenie. Kiedy dotarliśmy do Murchin, miejsca, gdzie zaplanowany był kolejny nocleg, zrobiło się zimno i wietrznie. Ale my mogliśmy odpocząć i przygotować się do następnego etapu naszej wędrówki.

Środa, dzień piąty
02.05.2012

Opuściliśmy gościnne progi ośrodka żegnani przez sympatycznego właściciela. Cały czas poruszaliśmy się dobrą drogą w pofałdowanym terenie, ale bez wielkich stromizn. Ciekawostka, która nawet trochę frustrowała, nas, polskich rowerzystów. Ścieżka biegnąca wśród pól to trakt pokryty asfaltem, biegnący równolegle dogruntowej drogi. Zmierzaliśmy w stronę Anklam. Miasteczko, położone nad rzeką Peene z niedużym portem. W centrum piękny rynek, baszta z urządzonym tam muzeum i duży kościół. Mielismy okazję pooglądać wszystko nieco dłużej niż planowaliśmy. A to dlatego, że znowu miała pecha Iwona. Dętka w tylnym kole okazała się być mało wytrzymała na podróż nawet tak dobrymi drogami rowerowymi jak niemieckie. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Dętka została sprawnie wymieniona przez męską część grupy. My kobiety rozpieszczyliśmy się po najbliższej okolicy. Rynek w jakieś dni tygodnia zamienia się w schludne targowisko. W płycie rynku schowane są przyłącza z mediami i po zakończeniu sprzedaży robi się na powrót porządek i zabytkowo. Mnóstwo ludzi na zakupy przyjeżdża rowerami. Nie brakuje miejsc i stojaków, gdzie można je zostawić. Starsi ludzie często jeżdżą rowerami trzykołowymi wygodne, bezpieczne i pakowne. U nas takie widoki są rzadkością. Naszą uwagę przykuł też kościół. Na zewnątrz nic sensacyjnego. Ogrodzona budowla z remontowanym dachem. Postanowiłam zajrzeć do środka. Główne wejście okazało się zamknięte, ale przez szybę można zobaczyć we wnętrzu dziwne konstrukcje i kolorowe materiały przypominające czasze motolotni. Zaintrygowane tym widokiem chciałyśmy się dowiedzieć czegoś więcej. Okazało się, że nie trzeba szukać zbyt daleko. Przed kościołem stoi skromna tablica informacyjna. Z treści zamieszczonej na owej tablicy wynika, że kościół nie pełni już funkcji sakralnych. Jest (za unijne pieniądze) adoptowany na galerię z wystrojem związanym z lataniem. Będzie gotowa na 700- lecie miasta tj. w 2014 roku. Przedstawiony projekt każe przypuszczać, że jeśli przedsięwzięcie się powiedzie, będzie to ciekawy, przykuwający uwagę obiekt. Od atrakcji budowlanych poczęliśmy się przemierzać w kierunku atrakcji przyrodniczych. Jechaliśmy ścieżką ułożoną z betonowych płyt wśród mokradeł z widokiem na trzcinowiska i całe pasma drzew. Te drugie niestety w wielkich fragmentach zniszczone i obumarłe. To efekt bytowania wielkich stad kormoranów, które po uśmierceniu swoich siedlisk przenoszą się dalej. Widok ptaków, ich śpiew, krzyki, nie burzyły poczucia harmonii, jakie nam towarzyszyło, kiedy chłoniliśmy te piękne widoki. Dojeżdżaliśmy do Monkebude. Postanowiliśmy obejrzeć przystań żeglarską. Tyle, że ja musiałam zostać po drodze. Okazało się, że dętka z tylnego koła nie wytrzymała ostrego zderzenia z krawędzią betonowej płyty. Szybko i sprawnie usterkę usunął Maciej przy pomocy Darka. Po naprawie podjechaliśmy jeszcze na chwilę nad brzeg zalewu. Niedaleko od placu zabaw, gdzie odpoczywali pozostali, osobliwy widok: na starym domu pokrytym strzechą (na nowych domach też jest sporo pokryć tego typu) zamontowano baterie słoneczne. No cóż, jak się

chce to tradycję z nowoczesnością można połączyć w zaskakujący sposób. Po dalszej, spokojnej jeździe znaleźliśmy się w Ueckermunde. Zatrzymaliśmy się tam, żeby coś zjeść, odpocząć. Rozglądaliśmy się z zainteresowaniem po pięknym mikroskopijnym rynku, nabrzeżu i uliczkach z kolorowymi wystawami. Zmierzaaliśmy w kierunku Polski. Zanim dojechaliśmy do Nowego Warpna zatrzymaliśmy się nad jeziorem przy punkcie widokowym. Było na co popatrzeć. Woda, lasy, w oddali widoczne zabudowania. Wszysrko skąpane w słońcu. W Nowym Warpnie ciekawostka. Na wzór Alei Gwiazd w Międzyzdrojach, Chodnika Taterników w Karpaczu, urządzono Aleję Żeglarzy. Przez imponującą bramę wchodzi się na skromny chodnik. Ale wzrok przyciąga. Obok zabytkowego kościoła jest stara, wielka i piękna (czynna!) pompa do wody. Po uzupełnieniu zapasów prowiantu w jedynym, czynnym sklepie spożywczym pojechaliśmy na miejsce noclegu, do Podgrodzia. Mieliśmy za sobą osiemdziesiąt cztery kilometry i mnóstwo wrażeń). Atrakcją wieczoru było ognisko. Siedząc przy ogniu, zającąc pieczone kiełbaski rozmawialiśmy i słuchaliśmy bzyku całej chmury, nie chmury, ale wielkiej chmury komarów unoszącej się nad dachem budynku przypominającego stodołę.

Czwartek, dzień szósty
03.05.2012

Ten odcinek wędrówki zapowiadał

się pięknie. Słońce, ciepło i dobre nastroje. Świadomość, że odcinek do pokonania jest relatywnie krótki niektórym dodawała werwy (około pięćdziesięciu czterech kilometrów). Trzeba powiedzieć, że nie wszyscy członkowie grupy (jak zawsze zresztą to jest) byli w tak doskonałej formie fizycznej jak Aneta, Iwona czy Maciej,

albo Darek. Lidka żartowała, że ratunkiem dla tych wolniej jadących jest Nala.

A to dlatego, że odcinki, które przebiegała przy rowerze swojej pani jechaliśmy troszkę wolniej. Z reguły po przebiegnięciu kilkunastu kilometrów nie było widać zmęczenia po sympatycznej psicy. A zatem pojechaliśmy przed siebie.

Przemieszciliśmy się przez fragment kolejnego rezerwatu (Świdwie). W miejscowości Stolec zasiedliśmy na stołko-ławkach oczekując na świeżo parzoną kawę, którą zakupiliśmy w

miejscowym sklepiu. Była okazja zapuścić się w głąb pięknego niegdyś ogrodu otaczającego pałacyk, który okazał się być kolejną placówką, już nieczynną

Straży Granicznej. Aż żał patrzeć na marniejący majątek. Po kawie udaliśmy się przez Buk, Dobrą w kierunku Szczecina. Po drodze mijaliśmy pola uprawne obsiane

nie tylko rzepakami, ale i zbożem – oczy można było do woli sycić widokiem zieleni w najróżniejszych odmianach, łąki z bujną trawą, małe miejscowości

ze swoimi osobliwościami: figurami przydrożnymi, kościółkami, wiejskimi smrodami i miętymi zapachami. Na jednym z odcinków rozciągnął się przed naszymi oczyma Szczecin w całej krasie, z portem, elektrociepłownią, osiedlami.

Wszystko poszatowane kępami zieleni. Minęliśmy drogowskaz "Szczecin

10km". Pojechaliśmy dalej, bardziej okrężną drogą. Po wjeździe do miasta przed elektrociepłownią zniknął nam z oczu

Darek. Postanowiliśmy poczekać, aż dojedzie do grupy. Wyjaśnił nam

uprzejmie, że zobaczył wjazd do fabryki betonu i postanowił tam ...zajrzeć. Ot, ciekawość zawodowa dała znać o sobie. Jadąc w kierunku dzielnicy, gdzie jest schronisko minęliśmy amfiteatr, pięknie

wkomponowany w krajobraz, park różany, główny skwer przed Urzędem

Marszałkowskim. Ile razy tam jestem, tyle razy niezmiennie podziw budzą stare, piękne platany i uroda tego miejsca. Doceniają ją chyba nie tylko turyści, ale

i mieszkańcy Szczecina. Tłoczno tam jest zawsze. Zajrzeliśmy też na Zamek

Książąt Pomorskich. Dojechaliśmy do schroniska. Zlokalizowane w willowej dzielnicy sąsiadującej z tym parkiem. Na terenie posesji ciekawie urządzony i

zadbany ogród przyciąga wzrok, ławeczki zachęcają do odpoczynku. Samo schronisko czyste, ale... No właśnie. Za mało pryszniców i kamery w kuchni. Ale za to można korzystać z piekarników w kuchenkach elektrycznych. Najmłodsza część grupy skorzystała z tej możliwości i chłopcy uraczyli całą grupę kolacją. W dobrych nastrojach spałaszowaliśmy grzanki z serem i pomidorami. Wspólny posiłek był też znakomitą porą i okazją do ciekawej rozmowy i wspomnień z innych wypraw.

Piątek, dzień
siódmy 04.05.2012

Ciekawi byliśmy jak będzie wyglądać kolejny dzień. Przed nami był długi odcinek do pokonania około sto kilometrów. W drogę ruszyliśmy w grupie uszczuplonej o dwie osoby. Lidka i Wojtek wracali wcześniej do Poznania. Ten fakt ostatecznie kazał nam uzmysłwić sobie, że cała wyprawa zbliża się ku końcowi. Wyjazd z miasta, dość długi i uciążliwy prowadził przez remontowane ulice, dzielnice domów jednorodzinnych i ogrody działkowe. Pojechaliśmy w kierunku Lubieszyna. Przy przejściu granicznym minęliśmy kolorowe targowisko pełne ludzi. Nie zatrzymywaliśmy się tam. Zjechaliśmy w kierunku lasu, później pól uprawnych. W Locnitz, podobnie jak i w innych miejscowościach o tym charakterze przyciągały wzrok małe, schludne domy, z ukwieconymi oknami i balkonami. Po błyskawicznie dokonanych przez Iwonę zakupach udaliśmy się w kierunku miejscowości Ramin. Przez całą drogę, wszędzie, gdzie jechaliśmy po asfalcie, naszą uwagę zwracało to, że nawierzchnie są w bardzo dobrym stanie. W czasie całej wędrowki po niemieckiej stronie tylko w nielicznych miejscach trafiały się drogi z dziurami lub popękanym asfaltem. Przez cały czas towarzyszyły nam widoki na pola uprawne, różne wiosenne zapachy. Patrzenie na wiatraki z obracającymi się nieśpiesznie śmigłami mogło być źródłem błędnego wrażenia, że wiatr jest nikły i nikomu nie przeszkadza. Nasze odczucia były inne, choć należy przyznać, że podmuchy nie zniechęcały do jazdy, choć niewątpliwie ją nieco utrudniały. Za ciepło też nie było i dlatego wiadomości o upałach panujących w Wielkopolsce przyjmowaliśmy z dużym dystansem. Ale jechaliśmy dalej. Minęliśmy Krackov. Od czasu do czasu przystawaliśmy odpocząć, popatrzeć na otaczający nas krajobraz. Dużo emocji i zabawy dostarczało nam porównywanie stanów liczników rowerowych. Okazało się, że po przejechaniu około pięćdziesięciu kilometrów między niektórymi licznikami była różnica nawet dwóch kilometrów. Oczywiście dyskusje na temat przyczyn tego stanu rzeczy i ich ustalanie zajmowały nas bardzo. Maciej potrafił spokojnie i rzeczowo wszystko wyjaśnić i uzasadnić. Dotarliśmy do Penkun. Nad jeziorem, przed miastem zatrzymaliśmy się na dłuższy odpoczynek i posiłek. Mieliśmy okazję wydać ostatnie euro na obiad, czy lody. Kiedy nabraliśmy sił i ochoty na dalszą jazdę, podjechaliśmy do pięknie odbudowanego zameczku. Obejrzelśmy go tylko z zewnątrz. Udaliśmy się w dalszą drogę, w kierunku Kołbaskowa. Minęliśmy jakąś wieś z rozwalonymi i zniszczonymi zabudowaniami po czymś, co kiedyś było odpowiednikiem naszego PGR. Brzydko to wyglądało, ale i u nas znamy te widoki. Niechcący wydłużyliśmy trasę o kilka kilometrów. Z prostej przyczyny. Wyprzedziliśmy Macieja, który towarzyszył Anecie i Nali biegnącej przy rowerze. Mimo, że widzieliśmy tablicę z drogowym wskazaniem dla rowerzystów, zignorowaliśmy wskazówkę. Niemcy każde skrzyżowanie drogi rowerowej z inną rowerową, czy innej kategorii szczegółowo oznaczają, och tylko pozazdrościć. W ten sposób wjechaliśmy na okrężną drogę. Ale nic się nie stało. Przejechaliśmy przez granicę w Kołbaskowie i przez Siadło, Kurów pedałowaliśmy w stronę Szczecina. Granica między miastem, a Ustowem jest płynna. Zaznacza ją tylko drogowy wskaz. Jechaliśmy już po ulicach Szczecina. Kiedy dojechaliśmy do

schroniska mimo przejechanych ponad stu dwóch kilometrów, mieliśmy energię na rozmowy przygotowania do drogi powrotnej do domu. Jak ten czas szybko umknął!!!

Sobota, dzień ósmy
05.05.2012

Po spokojnie zjedzonym śniadaniu zebraliśmy rzeczy, powiesiliśmy sakwy na rowerach. Już wcześniej planowaliśmy, że przed wyjazdem pojedziemy jeszcze do parku i na miasto. Jak myśleliśmy, tak zrobiliśmy. Kiedy wyjechaliśmy ze schroniska, niedaleko pomnika Jana Pawła II poprosiłam o dłuższą przerwę. Trzeba było wyciągnąć ze starannie spakowanej sakwy grube rzeczy. Ciepły Poznań był jeszcze daleko. Pojechaliśmy na dworzec. Kiedy zapakowaliśmy się do pociągu nawet za bardzo rozmawiać nam się nie chciało, ale dobre nastroje nas nie opuszczały. W okolicach Wroniek obserwowaliśmy wielki deszcz, który rozmiarami przypominał oberwanie chmury. Kiedy sprawnie wypakowaliśmy się z pociągu zobaczyliśmy groźnie wyglądające chmury wiszące nad miastem. Po pożegnaniu z poznańską częścią grupy, udaliśmy się w kierunku Czerwonaka. Zdażyliśmy przed burzą i deszczem. I.....koniec. Pora wracać do rzeczywistości. Przejechaliśmy tylko dwadzieścia dwa kilometry

Niedziela,
dzień po zakończeniu wyprawy 06.06.2012

Maciej dokonał krótkiego podsumowania. Zobaczmy jak wyprawę pokazuje kilka liczb. Łącznie przejechaliśmy 560 kilometrów. Potrzebowaliśmy na to około 36 godzin jazdy. Średnia prędkość oscylowała wokół 16km/godz (największa chwilowa prędkość to 45km/godz) Nie są to może cyfry zapierające dech w piersiach, ale tempo pozwalało na podziwianie krajobrazów, bezpieczną jazdę i rozglądanie się dokoła. Z wielką satysfakcją odnotowaliśmy, że średnia wieku (bez Nalki!) oscylowała około czterdziestki z lekkim plusem. Okazało się, że osobą odpowiedzialną za ten plus jest pisząca te słowa. Ale nie mam kompleksów i nie wstydę się, że byłam tam najstarsza.

Zostaną miłe wspomnienia i chęć wybrania się w tym towarzystwie na następną wyprawę.

Renata